

WIADOMOŚCI POLSKIE

PRENUMEROWAĆ MOŻNA

w Bibliotece Polskiej, 6, quai d'Orléans.

Cena prenumeraty:

Na rok fr. 20
Na pół roku fr. 10
Na trzy miesiące fr. 5

Dziennik wychodzi co tydzień,
W SOBOTE.

N^r 9.

DNIA 27 LUTEGO 1858 ROKU.

PRENUMEROWAĆ MOŻNA

w Księgarni Polskiej, 20, rue de
Seine-St-Germain,
w Księgarni A. Francka, 67, rue de
Richelieu.

(Wszelkie zgłoszenia dotyczące się niniejszego pisma, tudzież przesyłanie reklamacyj i listów, mają być adresowane: à M. I. Szczepanowski, 6, quai d'Orléans, à Paris).

GEOGRAFIA I ETNOGRAFIA POLSKI.

Od niejakiego czasu pisma krajowe coraz częściej mówią o zachodzącej, albo przynajmniej przewidywanej u nas zmianie na polu literatury. Powieść i feleton, panujące dotąd przemożnie, zdają się być zagrożone utratą swego wszechwładztwa; ogół czytający przesycony, znużony niemi, poczyna żądać istotniejszego pokarmu umysłowego: dlatego też odzywają się coraz głośniej i śmieliej nawoływania rzeszy literackiej do przedmiotów poważniejszych, naukowych, historycznych mianowicie. Ledwieby nie można wrożyć, że historia wejdzie na porządek dzienny i będzie miała swoją chwilę górowania, jak niegdyś polityka, później filozofia, a nakoniec belletrystyka z artystem. Cokolwiek bądź, reakcja przeciw obecnemu kierunkowi ruchu pismenniczego już się staje widoczną, i jak każda reakcja sięga zbyt daleko, ciągnie zbyt wyłączenie w przeciwną ostateczność. Zwrót przeto jest trudny, napotyka silny opór w samym nawet materialnym organizmie produkcji literackiej. Dzisiaj, dziennikarstwo jest prądem, który ściga do siebie mnóstwo strumyków pracy, i owoce jej przez dłuższy czas albo dla dłuższego czasu zbierane, unosi w przepaść dni wczorajszych. Ale ten prąd ma w sobie życie, nie płynie tajemnymi kanałami bibliotek i gabinetów naukowych, toczy się na powierzchni rzeczywiście interesów, dogadza blizkim potrzebom i publiczności i pracowników. Żeby go sprowadzić do właściwego koryta, żeby niedozwolić mu osuszać poważniejszych krynic umysłowej niwy, żeby ochronić co zrywa i marnuje, trzeba utworzyć inne stoki i ujścia, odpowiadające również warunkom żywotnym. Inaczej, to nawoływanie do pracy poważniejszej, trwalszej, surowszej, będzie zawsze traćło suchym moralizowaniem pedagogicznym i żadnego nie sprawi skutku.

Jeżeli załamanie się w kierunku pismenniczym, przychodzi istotnie jako wypadek wielu nagromadzonych przyczyn i pod ich parciem zdoła objawić się wyraźnie, pierwszy tego wpływ niewątpliwie musi okazać się na pismach czasowych. Dotąd te pisma, trwają u nas w jakimś stanie aglomeratów nieorganicznych, chociaż w skład ich wchodzi nieraz pełne żywotności cząstki. Bardziej precyzyjnie, niżeli niesprawiedliwienie ich potrzeby jedna dla nich żywotność ogółu. Było już nieraz, w rozmaity sposób powtórzone to zdanie, że w teraźniejszym położeniu wszystkich części naszego kraju, pisma czasowe mają wzniosłe stanowisko, powołane są zastępować wyższe szkoły publiczne, spełniać czynności ciał uczonych. Z drugiej strony odzywają się ciągle skargi, że obywatel mieszkający w swym wiosce, otoczony rodziną, przejęty najlepszymi chęciami dla pismennictwa krajowego, nie wie jakieby pismo czasowe miał zapisać, aby dogodzić potrzebie umysłowej członków swojego domu; że pisma tego rodzaju nie zwracają dosyć względu na potrzeby tych ludzi, co są nie specyjalni, nie literaci, nie prawnicy, nie antykwaryusze, ale

jednakże do pewnego stopnia ukształceni, przyjęliby nawet chętnie rzecz specyjalną, byle wyłożoną w przystępnej formie. Wymagania może zanadto rozległe, wszelako jest w nich pewna wskazówka i celu i środków. Potrzebność i przystępność, to warunki dzisiaj najgłówniejsze, a od umiejętnego ich połączenia zależy zresztą niemal wszystko.

Niemozna powiedzieć, że Redakcyje naszych pism prawdziwie zbiorowych i ogólniejszego zakresu, zupełnie nie pojmują swego zadania i nie czynią gorliwych usiłowań; ale widać to zawsze, że nie trzymają w ręku silnego steru i są jakby na łasce swoich współpracowników. Każdego miesiąca zakłopotane czém sposzyt napełnić, umieszczają w nim nie to, coby wprost odpowiadało jasno zakreślonemu przeznaczeniu pisma, ale najczęściej co Bóg da, co komu przyjdzie ochota nadesłać, albo co może podobać się różnego rodzaju czytelnikom, Mają wprawdzie niektóre stałe rubryki, jak np. korespondencyj, i w tych wszakże nie przewodniczy myśl kierująca wszystko do wytkniętych widoków. Ztąd pochodzi, że pisma nasze czasowe, zamiast być czémś istotnie nakształt szkoły publicznej, zamiast środkować i ułatwiać prace naukowe, stają się wkońcu jakimś ogółowym składem materiałów, urywków, plodów ulotnych, a w tem nie różniąc się od dzienników, ani powagą ani żywością nie mogą ich przewyższyc i współubiegania się z nimi wytrzymać. Chcąc razem i trwalszym i chwilowym względem dogodzić, przypominają ów wiersz Krasickiego:

A Czas z kosą na łące wśród kompasu z gliny
Sam nie wie czy ciąć trawę, czy znaczyć godziny.

Śmiemy mniemać, że pisma czasowe w kraju, dopóty nie przyniosą w zupełności pożądanego skutku, nie odpowiedzą żądaniom i ogółu i własnych wydawców, dopóki pewne ich oddziały przynajmniej, nie zostaną skarbnicą wyrobów dostarczanych przez pracownie urzędzone właściwie i do właściwego celu, słowem, póki Redakcyje ich nie wejdą w tryb dobrze uorganizowanych stowarzyszeń naukowych lub literackich. Ta uwaga zwraca myśl ku istniejącym już stowarzyszeniom tego rodzaju.

Kraj nasz posiada trzy szczególniejsze grona, liczbą i zamiarem przedstawiające ciała naukowe, po których wiele spodziewać się może: Towarzystwo Naukowe w Krakowie, Komisya Archeologiczna w Wilnie i nakoniec Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu. Różne ich położenie, różne warunki bytu i poniekąd sposoby działania; wszystkim wszakże zbywa jeszcze na tém, w czémby właśnie naśladowanie ich redakcyom zalecać należało. Mają one swoje ustawy organiczne, odbywają posiedzenia ogólne i wydziałowe, zakładają albo mnożą zbiory i muzea; ale po za szeregiem tych czynności potocznych, porządkowych, niezbędnych wprawdzie, zawsze wszakże przygotowanych tylko, cel istotnej pracy wspólnej, praktyczna użyteczność ześrodkowania sił niknie z widoku, rozprasza się znowu na pojedyncze promienie dobrej woli i zdolności członków. Każdy z nich zostawiony samemu sobie

może zająć się czem i jak się mu podoba, przynieść gronu co łaska. Ci, którzy nie mają usposobień szczególnych i zatrudnień obranych, ograniczeni są do roli biernych słuchaczy na zgromadzeniach, i ledwo składką ustanowioną, albo jakim darem nadzwyczajnym przyczyniać się mogą do postępu — nie powiemy dzieła, ale przygotowań do działania czegoś kiedyś. Osobne nawet wydziały nauk przyrodzonych, historycznych i moralnych, nie obmyślają przedmiotów pracy zbiorowej, nie rozdają jej cząstek członkom, nie pokazują w samem gromadzeniu materiałów planu i zamiaru jakiejś budowy. Czytamy skwapliwie i z uwagą sprawozdania z posiedzeń ogólnych i wydziałowych; we wszystkich prawie to samo: przemówienie prezesa lub jego zastępcy, wyliczenie drobiazgowo ważnych i mniej ważnych nabytków, nakoniec odczytanie rozprawy o tém lub owém, która może sama w sobie bardzo cenna i znamienita, ale sądząc z tytułu i treści, niewiadomo najczęściej ani po co się tu zjawiała, ani gdzie pójdzie potem. Te rozprawy, równie jak zbierane różne zabytki rękopiśmienne, mają podobno stanowić zasób do wydawania roczników, które w programacie wszystkich Towarzystw naukowych zdają się być ostatecznym punktem dążenia, najrzeczywistszym owocem ich usiłowań ku pożytkowi powszechnemu.

Towarzystwa przeto pragną przyjść do tego, od czego Redakcyje pism czasowych poczęły, i dziwna rzecz czemu rozmijają się w drodze, czemu nie oddają sobie wzajemnej pomocy, czemu niemasz pomiędzy niemi porozumienia się i związku. Przecież cele ich, w najogólniejszym zakresie, bardzo są zgodne i niemal jednakie, a środki dopięcia tych celów, nie mogą różnić się wiele, muszą trzymać się tej samej zasady, którą jest odpowiedzenie w sposób jak najskuteczniejszy obecnym potrzebom umysłowym społeczeństwa. Gdyby roczniki, odstępując nieco od zwykłego trybu pism czasowych, miały być tylko wyłącznie i ściślej przeznaczone na skład pewnych rzeczy do schowania, mniej jeszcze niż tamte zajmowałyby ogół, a w małej ledwo części czyniłyby zadość powołaniu Towarzystw naukowych. Jak zaś część ta może być łatwo przyłączona do wychodzących już sposzytów miesięcznych, mamy tego przykład na wydawanym przez p. Platera de Broel zbiorze źródeł i dokumentów historycznych przy Bibliotece Warszawskiej. Zbieranie wszakże i drukowanie tego rodzaju materiałów, bądź surowych, bądź nawet do pewnego stopnia wyrobionych, nie jest głównem zadaniem Towarzystw naukowych u nas. Doświadczenie pokazuje, że szcuplejsze kółka wydawnicze, przedsiębiorstwa nakładców, pojedyncze usiłowania czcigodnych mecenasów i pracowitych literatów, sprężyciej w tej mierze działają i więcej przynoszą. Pod względem zaś użyteczności bliższej i doraźnej, którą Redakcyje pism czasowych i Towarzystwa naukowe szczególnie powinny mieć na oku, nie tyle dziś idzie o przysporzenie zasobów, ile o wyciągnięcie korzyści z tego co już nagromadzone, o torowanie dróg i ułatwianie przystępu do nabytków pogrążonych w odmęcie. Towarzystwa nadto, są jeszcze powołane do zajęcia się takimi robotami, które tylko za pomocą zbiorowej i dobrze uorganizowanej pracy wykonane być mogą.

Jak powiedzieliśmy, że Redakcyom pism czasowych nie zbywa na pojęciu ich zadań, tak też przyznać to winniśmy, niektórym przynajmniej, Stowarzyszeniom naukowym. Co tu piszemy, nie jest wymierzone przeciw nim jako zarzut lub upomnienie, pochodzi jedynie z chęci poparcia i przyspieszenia właściwego kierunku w usiłowaniach tak pięknych i zbawiennych. Istotną uciechę sprawiła nam wiadomość, że wydział nauk historycznych i moralnych w Towarzystwie Poznańskim, na samym wstępie czynności swoich, zajął się zrobieniem obrazu bibliograficznego z kilku lat ostatnich. Jestto znak, i czujnego względu na bliższe potrzeby i tego porządku w przedsięwzięciach, który zdaje się zapowiadać, że pójdą jedne za drugimi szykownym szeregiem. Stoi

w oczekiwaniu poczet ich niemały, a głos publiczny niekiedy usilnie zaleca. Poważymy się oddać tu i nasze *pium desiderium*.

Coraz częstsze i powszechniejsze wołania w kraju dopominają się o dzieła naukowe popularne, o wykłady podręczne, o książki uczące a przystępne, któreby składały pewny rodzaj szkółki domowej. Uczynić zadość temu żądaniu nie jest rzecz łatwa i mała. Potrzeba tu dwóch warunków: umiejętności gruntownej i zdolnego pióra, a są przedmioty wymagające jeszcze bogatego zapasu materiałów, zgromadzenia i uporządkowania wielkiej liczby danych. W takich to mianowicie przedmiotach, Towarzystwa mogą dostarczyć przygotowane zasoby i ułatwienia piszącemu. Pomijając inne, zastanowimy się trochę nad jednym.

Nie pomyli się zapewne kto powie, że nam zupełnie braknie dobrej geografii krajowej. *Starożytna Polska*, Balińskiego i Lipińskiego, dzieło szacowne, bardziej jest historycznym niżeli geograficznym. Pod tym ostatnim względem wiele mu nawet nie dostaje. Kompendya, zwykle dla szkół pisane, prócz innych zarzutów jakieby im zrobić można, odstręczają złą metodą i suchością. Nie odpowiadają one ani dzisiejszemu stopniowi nauki, ani warunkom dzieł popularnych. Napisanie geografii polskiej podług nowszej metody, obejmującej wszystkie widoki krajoznawstwa, osnowanej umiejętnie a wyłożonej jasno, powabnie, z zyciem, z miłością ojczyźstąj ziemi, to zawód godzien najznamnitszego pióra. W roku przeszłym, dzienniki warszawskie doniosły jakby osobliwość, że jedna z naszych najwyżej utalentowanych, najpoetyczniejszych autorek miała zająć się geografją krajową. Nowina ta bynajmniej nie była dla nas dziwną, ale bardzo przyjemną. Nie wiemy co się stało z zamiarem. Tymczasem, jak wiadomości geograficzne nie są u nas upowszechnione, ciągle napotykałyśmy tego dowody.

Niedawno, Kronika warszawska umieszczając w swych kolumnach list ze Święcjan, uznała za rzecz potrzebną przypomnieć czytelnikom, że «*Święciany* miasto powiatowe gubernii wileńskiej.» Wkrótce potem też Kronika miała korespondencyą zatytułowaną «*Z Podlasia.*» Ponieważ zaś szanowny korespondent mieszka pod Garwolinem, jeden z redaktorów dodał przypisek ostrzegający go, że «*Garwolin* leży na pograniczu Mazowsza z dawnym województwem łubelskim a nie na Podlasiu, którego dzisiaj w Królestwie bardzo mało.» Chociaż komentarz ten ulega także sprostowaniu, bo Garwolin był przy granicy województwa sandomierskiego, *Gazeta Codzienna* nie zastanawiając się nad tem, miała już dosyć powodów zawołać: «*Smutna to rzecz, że dotąd tak mało znamy kraj nasz rodzinny, i że tak niewielka korzyść wypłynęła z tylu korespondencyj niby krajowych, któremi zapełniamy szpalty dzienników warszawskich.*»

Te to właśnie korespondencye i różnego tytułu opisy mniejszej więcej rozległych okolic kraju, stanowią jeden z główniejszych oddziałów niewłaściwie zagarniętych przez dzienniki, a zaniedbanych przez pisma czasowe. Niesłusznie je lekce ważyć i nazywać *niby* krajowemi. Pomimo małej częstokroć wartości pod względem pisarskim i naukowym, zawierają one szczegóły szacowne, zasługują na uwagę, a lepiej użyte, rozmyślnie skierowane, mogłyby przynieść wielką korzyść. Ale rzucane po kawałku w pstrociznę *szpalt* dziennikarskich, pisane nawet z myślą zajętą przedewszystkiem sprawieniem *efektu* dziennikarskiego, nikną bezużytecznie. Prócz ludzi, których szczególnie obchodzi ta lub owa miejscowość, kto je czyta, kto pamięta o nich, kto wreszcie przypomniawszy sobie jaką ciekawą albo przydatną wiadomość, zdofa ją wynaleźć w owych stosach arkuszy, w których każdej rzeczy trzeba szukać «*jak igły w kopie siana?*» Wcale inaczej byłoby, gdyby tym artykułom, zdolnym mieć powab obrazowy i ważność naukową, pisma takie jak np. *Biblioteka Warszawska*, dały przytułek i opiekę. Niedosć że się czasem zabłąkają do nich luźnie i przypad-

kowo, jak piękny opis Pokucia, udzielony przez p. Bielowskiego *Dodatki* Krakowskiemu. Redakcyje powinnyby starać się o nie, przeznaczyć dla nich stałą rubrykę, jak przeznaczyły dla korespondencyj zagranicznych, a co większa, podać nawet korespondentom swoim, w głównych przynajmniej zarysach, plan dobrze obmyślony, wskazać im pewne kategorie wymagające szczególnej uwagi. Tym sposobem, części przystawiałyby lepiej jedną do drugiej i powoli tworzyłaby się całość. Można by było widzieć gdzie czego brakuje, która okolica jest jeszcze nietkniętą, w której potrzeba szukać korespondenta *ad hoc*. Pisarz chcący zająć się geografią krajową znalazłby tu pożądaną pomoc. Czytelnik popolity miałby przedmiot uczący przyjemnie, bez znużenia; prowadzony porządnym tokiem rzeczy, łatwiejby tworzył sobie wyobrażenia ogólne, nie traciłby szczegółów nieczepiających się niczego w pamięci. Jeżeli to prawda, że objawia się u nas zwrot ku literaturze poważniejszej, że umysły żądają pokarmów pożywnych, zapewne pisma czasowe podejmując tę część pracy dogodziłyby potrzebie ogółu, a przeto i własnej. Ale nie do samych tylko pism czasowych można odezwać się w tej mierze.

Oprócz artykułów rozsianych po dziennikach i niektórych, dawniejszych mianowicie, publikacjach periodycznych, mnóstwo jest u nas opisów częściowych kraju spoczywających w swoich własnych okładkach, albo między rozdziałami dzieł większych. Są różnej formy wspomnienia i notatki z podróży, przejażdżek i wycieczek w tę lub ową stronę ziemi ojczyściej; są objaśnienia wstępne albo dodatkowe przy zbiorach pieśni gminnych, i t. p. Wszystkie razem wzięte ledwieby nie wystarczały na pokrycie, chociaż różnorodnym i niekształtnym obrazem, całej powierzchni w ramach geografii polskiej. Jeśli zresztą nie złożyłyby obrazu, to przynajmniej bardzo ciekawą i ważną tekę materiałów. Dzisiaj kiedy do podobnego zbierania jest obudzony popęd, kiedy wielu wydawców i gotowych na ich rozkazy pracowników czeka zatrudnienia, dziwić się prawie potrzeba, że nikomu nie przychodzi na myśl, zgromadzić te wszystkie zasoby, oczyścić, okrzesać, uszykować i począć wydawać jak są wydawane źródeła i dokumenta historyczne. Sama natura rzeczy powołuje do tego: geografia jest nieodstępną towarzyszką i pomocnicą historii, a należy jeszcze pamiętać, że w tej rudzie geograficznej znajduje się sporo kruszcu czysto historycznego. Nim jednak rozniecany zapal do nauki dziejów zagrzeje jakiego wydawcę, tymczasem wielkoby oddał przysługę, ktoby zrobił porządną inwentarz naszego majątku ziemopisarskiego, i nie tylko zkatologował dzieła tytułowane, ale podał dokładną skazówkę do wyszukania wszystkiego, co się znajduje rozrzucone po książkach, pismach czasowych i dziennikach. Zachęta i pomoc do tego zdaje się być powinnością zgodną z powołaniem Towarzystw naukowych. Mamy wszakże wskazać im przedmiot jeszcze bardziej zasługujący na ich troskliwość i staranność.

Wielorakie i różnorodne opisy, o których mówimy, obfitują szczególniej w materiał etnograficzny. Jest on w nich stroną najwydatniejszą, ale też traktowaną najpowierzchniej. Każdy z piszących nie żałuje trudu na zebranie wszystkich drobnostek odnoszących się do ubioru, zwyczajów weselnych i pogrzebowych, nawet sposobu codziennego życia mieszkańców swojej okolicy, żaden nie dba dosyć o to, żeby ją ściśle ograniczyć, żeby podać liczbę ludności, żeby tę ludność oznaczyć cechami wyciągniętymi z postrzeżeń filologicznych. W ogólności, etnografia jako nauka odrębna i dokładna, nie przyjmuje się u nas. Trzeba było cudzoziemca, żeby nam skreślił mapę, na której pierwszy raz postrzeżliśmy odznaczone siedliska ludu polskiego, litewskiego, ruskiego. Tego co Szafarzyk zrobił nikt w kraju nie wziął szczerze na uwagę, nie starał się sprostować, dopełnić, w szczegółach wykonać. Obojętność tę trudno pogodzić z wybujałym u nas popędem do śledzenia początków ludowych i zbierania

zabytków archeologicznych. Badacz zamierzający czasów, sili się z ciemnych i wątpliwych podań kronikarskich wysnuć całe dzieje przechodu i osiedlania się plemion słowiańskich, odbywa dalekie podróże dla porównania kodexów, jadąc z końca w koniec Polski, (zapewne w takiej plótnem pokrytej bryce, w jakiej Lelewel pisał przemowę do swoich Książ Bibliograficznych) дума głęboko nad tem, czy znajdzie pożądaną literę, która systemat jego domysłów ma podeprzeć, a tym czasem pomija okolice, gdzie częstokroć miedza lub strumyk przedziela plemię od plemienia, gdzie od lat tysiąca lud zewnętrznie niezmienniony w niczém, gdzie kilka słów żywej mowy lepiejby może rozwiązało mu nie jedną zagadkę, niżeli jaki rękopis zbutwiał. Miłośnik pomników, z albumem pod pachą bieży od ruiny do ruiny, zdejmując wizerunki ścian pokruszonych, sklepów pełnych ciemności i prochu, a nie patrzy na lud miejscowy, co te gmachy stawiał, przeżył i może kiedyś odbuduje, nie myśli za pomocą swego ołówka lub aparatu fotograficznego przenieść na papier tych twarzy, których wyraz mógłby tłómaczyć tajemnicę ruin. Zagorzały archeolog spęda chłopów z wsi sąsiednich, każe rozkopywać mogiły, cieszy się znalezioną paciorką, sprzążką, skorupą, łzawnicą, a serca swego nie pyta, czy kropła w niej zamknięta nie jest krewną tych co bliższą smutnie w oczach go otaczających....

Jednakże powinniśmy poczuć już ważność zajęcia się etnologią krajową. Na powierzchni ziem naszych gotują się zmiany, które znacznie zają dzisiejsze jej zarysy etnograficzne. Należałoby zdjąć je dokładnie, tak dla własnego użytku, jak dla zostawienia czasom późniejszym. Dbałość o przyszłość narodu i ufność w nią, wymaga tego po nas. Robota ta nie może być z pożądanym skutkiem wykonaną, bez przyłożenia się do niej istniejących, albo umyślnie na to zawiązanych nowych stowarzyszeń; potrzebuje bowiem mnóstwa szczegółowych a dokładnych wiadomości, które tylko na miejscu i przez pewną liczbę ludzi pilnujących się jednych prawideł, zebrane być mogą. Przypadaloby najwłaściwiej, uorganizowanemu już i rozgałęzionemu Towarzystwom naukowym zająć się tem dziełem, skreślić jego plan, napisać prawidła pracy przygotowawczej i zobowiązać do niej swoich członków, którzy niepotrzebują specjalnych usposobień, bo przecież każdy potrafi, z instrukcją w rękę zwiedzić bliższą czy dalszą okolicę i w danej sobie rubryce kategorycznej położyć żądane odpowiedzi na zapytanie.

Z wielu względów mamy powód liczyć na Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu, że usiłowaniami dla dopięcia wskazanego celu da początek i przykład. W granicach państwa pruskiego jest znaczna część ziemi naszej i ludności naszego szczepu. Wiemyż dokładnie, możemyż ściśle oznaczyć na karcie jak ta ziemia dziś osiedlona, jak ludność swojska i obca rozsypana na niej? Gadamy, piszemy, że w Szlązku, na Pomorzu pruskiem i w Prusiech wschodnich są całe wsie, całe okolice zamieszkałe przez lud polski; ale czy kto postarał się wsie te po imieniu wyliczyć, granice okolic tych dobrze określić? Napotykamy opisy Wielkopolan, Kujawiaków, Kaszubów, Kurpiów, gdyby wszakże przyszło odcienia te na mapie kolorem oznaczyć, niktby tego wiernie dokazać nie zdołał. Nie idąc wreszcie dalej, w samych prowincjach polskich od roku 1772 do Prus przyłączonych, nie tylko nie możemy jednym ruten oka objąć etnograficznego obrazu, ale musimy jeszcze cierpieć fałszywe jego przedstawianie. Podczas ostatnich wstrząśnień, Niemcy puścili w obieg mapkę, na której Księstwo Poznańskie wygląda jak liść, z brzegów zupełnie pożarty a w środku podziurawiony przez robactwo. Czuliśmy, że to nieprawda, ale prawdy na to miejsce postawić nie mieliśmy sposobu. Być może, że odsłonić rzeczywistości nie pozwala nam wstręt podobny, jaki obudza się przy dotknięciu rany; jeżeli wszakże nie zrzekliśmy się nadziei i powinności jej uleczenia, trzeba w nią się wpatrzeć. Niemniej, albo bardziej jeszcze fałszywe wyobrażenia dają zwykle karty polityczne. Poglą-

dając na te arkusze zasypane niemieckimi lub zniemczonymi nazwiskami, nikt nie pomyśli, że tam zostało tyle narodu polskiego ile jest istotnie. Geografowie nasi ledwo niewiele miasteczek i rzek znacniejszych umieją nazwać po dawnemu. Tysiące wsi, strumieni, jezior, tylko dla miejscowych mają właściwe miano. Któryś z dzienników warszawskich doniósł przed rokiem, że ktoś tam obiecuje podać z całej przestrzeni państwa pruskiego wszystkie nazwiska polskich w ich właściwej postaci. Obietnica wielka! O jej spełnieniu nie słyszeliśmy dotąd. Tymczasem, na karcie prowincyj pruskich po za granicami Księstwa, niepodobna zgadnąć jakby popsute lub zatarte nazwiska restaurować. W wielu pozostał jeszcze widoczny pierwiastek polskiego brzmienia, niektóre zdają się być tylko wprost przetłumaczone, ale domysł często może tu omylić. Prusacy szczególniej są zawzięci i przekorni w tępieniu wszelkich śladów dawnego dziedzictwa nabytej przez nich ziemi. Skoro tylko jaki *Ritter* osiadł w dworze wywłaszczonego szlachcica polskiego, zaraz go chrzci po swojemu, i Janopol przemienia się na *Hansfeld*, Siedlisko na *Stieglitz*, Jędrzejewo na *Putzig*, i t. p. Spekulant agronom byleby kupił pustkę chłopską albo trzebież w lesie i postawił w niej domek, wnet daje mu sentymentalne miano: *Friedrichsruhe*, *Wilhelminenhof*, *Charlottenberg*. Nie dowodzi to bynajmniej żeby już okolicą była zupełnie wypolszczona. Żyje tam przecież lud nasz rolniczy i koło *ritterskiego* dworu można jeszcze w niemieckiej pisowni rozpoznać nasze pospolite Zawady, Osieki, Wygody, a obok romansowego *Amalienthal*, ukazuje się nieraz zaściankowo-humorystyczny Nicponiem lub O....wilki. Księstwo ma swoje dobrze robione i czysto po polsku pisane karty geograficzne. Są przytém na każdą regencyą rządowe tabelle (*Verzeichniss Ortschaften*), w których przy nowych niemieckich, znajdują się dawne polskie nazwiska. Tabelle te jednak niezawsze zgadzają się z kartami, a Bydgoska pozwala sobie często poprzestawać na samém mianowaniu niemieckim. Nie mieliśmy w ręku Kwidzińskiej i Gdańskiej, mniemamy wszakże, że nie dają nic innego jak tylko co jest na kartach pruskich tych ziem naszych, bo leżą w nich części województw Poznańskiego i Gnieźnieńskiego, a całe województwa Chełmskie, Pomorskie i Malborskie. Wypadłoby przeto rozpocząć robotę od ścisłej rewizyj pierwszych, a zupełnego przetworzenia dwóch drugich tabelli. Do sporządzonego dopiero tym sposobem spisu dodane niektóre rubryki, mogłyby mieścić wiadomości pod względem etnograficznym potrzebne.

Nierozszerzamy się dalej z naszymi myślami, bo kto wie, czy i to cośmy powiedzieli zasłuży na uwagę i sprawi jakikolwiek skutek.

KRONIKA.

Piszą z kraju:

Radość powszechną wzbudza u nas powrót męczenników z Syberji. Wrócili zaślani tam w roku 1838, Salimski, Michalski Lucyan, Maszkowski, Beaupré, Gofyński Alexander i wielu innych. Podoleanie uchwalili na zapomogę tych odzyskanych rodaków składkę po złotemu od duszy, co wyniesie około miliona złotych polskich. To samo uczyniły inne gubernie z przyzwoleniem najwyższej władzy, za co gubernija kijowska, a następnie podolska otrzymały podziękowanie cesarskie.

NEKROLOG.

Dnia 22 lutego b. r. zakończyła w Paryżu, opatrzona śś. Sakramentami, dziewięćdziesiąt dwa lat życia, księżna Karolina z Borzymowskich Giedroicowa, wdowa po Romual-

dzie księciu Giedroicowi, generale wojsk polskich, wstawionym w czasie wojny r. 1794, który zaraz po ogłoszeniu powstania krakowskiego przez Tadeusza Kościuszkę, współcześnie z powstaniem Jasińskiego w Wilnie, rozpoczął ruch na Żmudzi i odniósł zwycięstwo pod Sałatami. Zmarła Giedroicowa była jedną z tych nielicznych już dziś Polek, co dawną Polskę pamiętają. Jak w ciągu całego życia tak przy zgonie zachowała gorącą miłość Ojczyzny. Pomimo późnego wieku i osłabionego stanu zdrowia, myśl jej była jedynie zajęta losem narodu. Każdą rozmowę zwykle kończyła pytaniem: Kiedy będzie Polska i czy ja tego dożyję? Na kilka godzin przed zgonem, prosiła jeszcze jedną z osób obecnych, aby jej zanuciła pieśń: *Jeszcze Polska nie zginęła*, którą gasnącym głosem powtarzała. — Liczne grono rodaków, po wysłuchaniu nabożeństwa, odprowadziło jej zwłoki dnia 22 b. m. na cmentarz w Montmorency.

W drodze szczególniej łaski dane zostało pozwolenie powrotu do Królestwa z Syberji, zaślanemu tam w roku 1852 za przestępstwa polityczne, Mieczysławowi Chwalibogowi.

Otrzymali pozwolenie powrotu do Królestwa z zagranicy: Józef Węgrowski, Karol Pomianowski i przebywający we Florencji wygnaniec Gabryel Roźniecki. Wrócili dobrowolnie do Królestwa i dostali pozwolenie w niem pozostać: Dyonizy Cetkowski i Jakób Groge. Przebywający we Francji, Adam Jaszczold, rodem z gubernii grodzieńskiej, otrzymał pozwolenie powrotu do miejsca swego urodzenia. — Ogółem dotąd 485.

DONIESIENIA.

Sipowicz i Stanisław Kalinowski, emigranci z r. 1831, rodem z powiatu Rosieńskiego na Żmudzi, zechcą w ważnym interesie familijnym zgłosić się do Leonarda Niedzwieckiego, w Paryżu, 6, *Quai d'Orléans*.

Uprasza się najusilniej każdego, ktoby wiedział, co się stało z Kazimierzem Wróblewskim, który dnia 8go lutego 1853 r. wypłynął z Nowego Yorku, w Stanach Zjednoczonych, do Melbourne, w Anstralii, w towarzystwie księcia Wirtemberskiego; aby wiadomość tę pod adresem, M. Albert Tur, 24, Haymarket, London, England, L. W. łaskawie udzielił raczył. W braku dokładniejszej wiadomości, nazwisko przynajmniej okrętu na którym wypłynął, nazwiska i mieszkania właściciela i kapitana takowego, któreby do dalszych poszukiwań posłużyć mogły, z wdzięcznością przyjętemi będą.

W Piątek, to jest dnia 5 marca, odbędzie się w sali Biblioteki Polskiej zwyczajne, miesięczne posiedzenie Towarzystwa Historycznego, na które Sekretarz Towarzystwa ma zaszczyt Szanownych Członków niniejszym zaprosić.

Redaktor, Felix WROTNOWSKI.

W drukarni L. MARTINET, przy ulicy Mignon, 2.